Śladami Srebronia: Juan Ramón Jimenez (1881-1958).

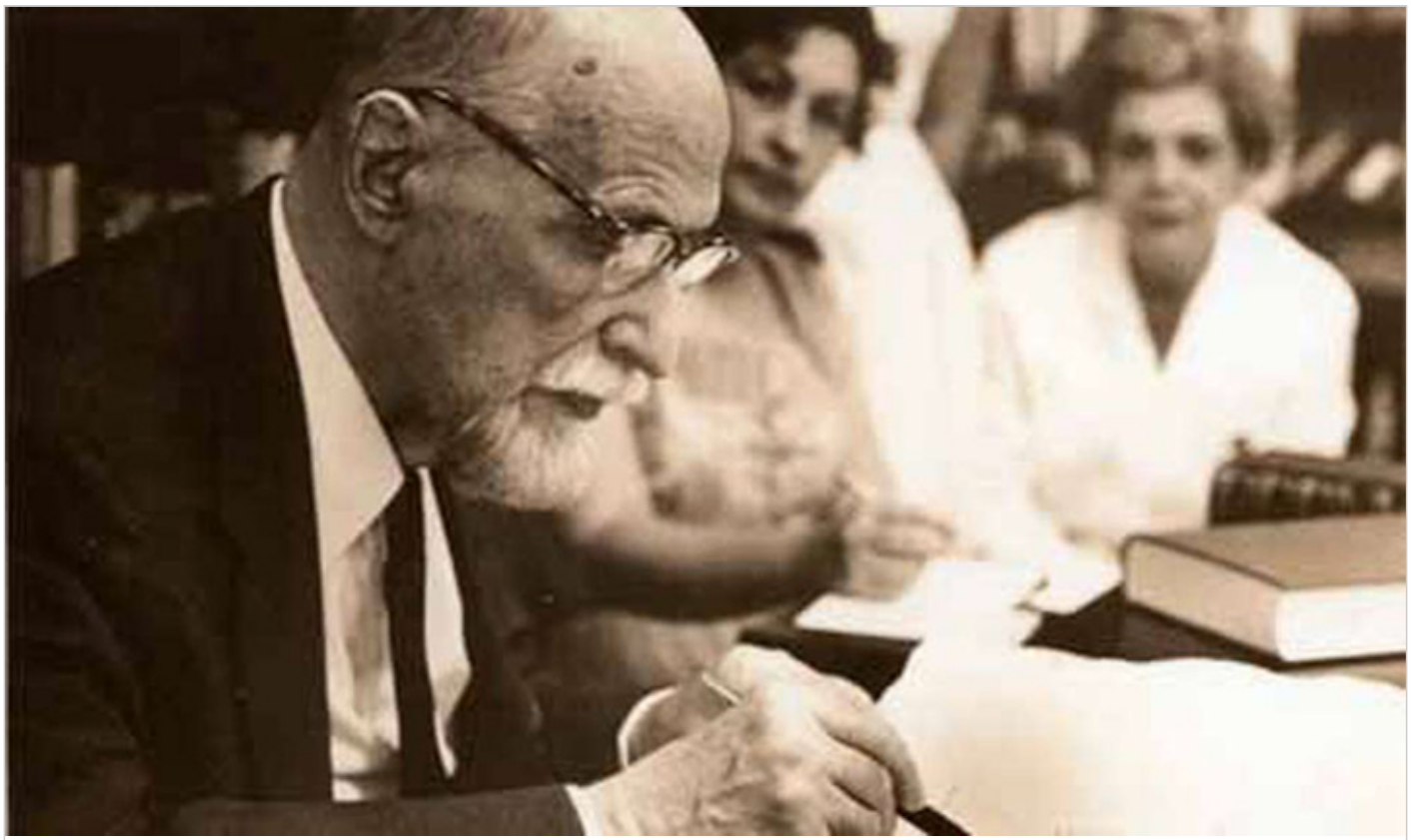

Juan Ramón Jimenez (1881-1958)

Florian Śmieja

Nazwisko Juana Ramóna Jimeneza usłyszałem po raz pierwszy na lekcjach literatury hiszpańskiej w irlandzkim mieście Cork, gdzie rozpoczynałem studia humanistyczne po demoblilizacji najpierw z I Korpusu, a później z Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia w 1947 roku. Uniwersytet oferował, egzotyczny wtedy dla mnie język hiszpański. Język piękny i łudząco prosty tak jak jego literatura, jak poetyckie opowiastki o srebrnej maści osiołku, towarzyszu chorowitego poety. A skoro był srebrzysty, to po hiszpańsku Platero. Srebroń, jak go po polsku przezwał pamiętający Leśmiana Józef Łobodowski. Trudno było o bardziej stosowny polski odpowiednik. Srebroń.

Jego twórca urodził się w bielutkim, słonecznym andaluzyjskim miasteczku Moguer wśród pól, winnic i lasów. Opodal leży miejscowość Palos, gdzie na polecenie królowej Izabelli zbudowano karawele, które pod wodzą Kolumba wypłynęły w poszukiwanie drogi do Indii. Pochodzący z Moguer jego zastępca i odkrywca ujścia Amazonki, Vicente Pinzón, w lokalnym, stojącym do dziś klasztorze, dziękował potem za pomyślny wynik wyprawy.



Srebrny osiołek na drodze w Andaluzji.

Do tej starożytnej miejscowości zwanej przez Arabów Almoguer pojechalem z Sewilli autobusem, wysiadłem w pobliskim San Juan, a na końcowy odcinek wprosiłem się na dwukołowy ciągniony przez muła wóz. Rytmiczne podskakiwanie pojazdu dawało dużo czasu, by dotrzeć do pojawiającego się na widnokręgu białego miasteczka godnie i w należnym skupieniu.

Były dom poety stał się jego muzeum. Wmurowana tablica głosi jego historię: „W tym domu – dziś muzeum – Juan Ramón

Jiménez przemarzył wszystkie sny dzieciństwa i młodości. Tu jego pamięć znalazła przychylne schronienie”.

Ten dawny dom poety to nie tylko muzeum, ale również biblioteka publiczna. Kto będzie jednak czytał w skwarne lata, a w takich porach spędziłem w Moguer moje trzy wizyty. Byłem więc zazwyczaj jedynym gościem i zaprzyjaźniłem się z dyrektorem, kuzynem pisarza. To dzięki jego uprzejmości pojechałem do lasu, by zobaczyć jeszcze szczątki wielkiej sosny uwiecznionej w poetyckiej prozie „Srebroń i ja”. Słynna sosna, „el pino de la corona”, sosna olbrzym, jak ją po polsku nazwałem, była widoczna z daleka, rzucała się w oczy swoim ogromem, była dostrzegalna z morza, królowała nad innymi drzewami. Ten symbol trwania, niestety, trafiony przez piorun leżał zwalony na ziemi, osmalony i połamany. Oglądałem jego mizerię jak drogą relikwię.

Pojechaliśmy również do letniej posiadłości Fuentepiñas jaśniejącej na horyzoncie. Obok bielonego budynku stała kopulasta sosna. To pod nią pogrzebano osiołka, którego poeta rozsławił w całym świecie. Nazwę słynnego miejsca nosił jeden z hoteli, w którym się zatrzymałem. Posiadam jeszcze rachunek, z którego wynika, że mój pokój kosztował mnie w połowie maja 1975 roku dwieście peset, a obiad 288.

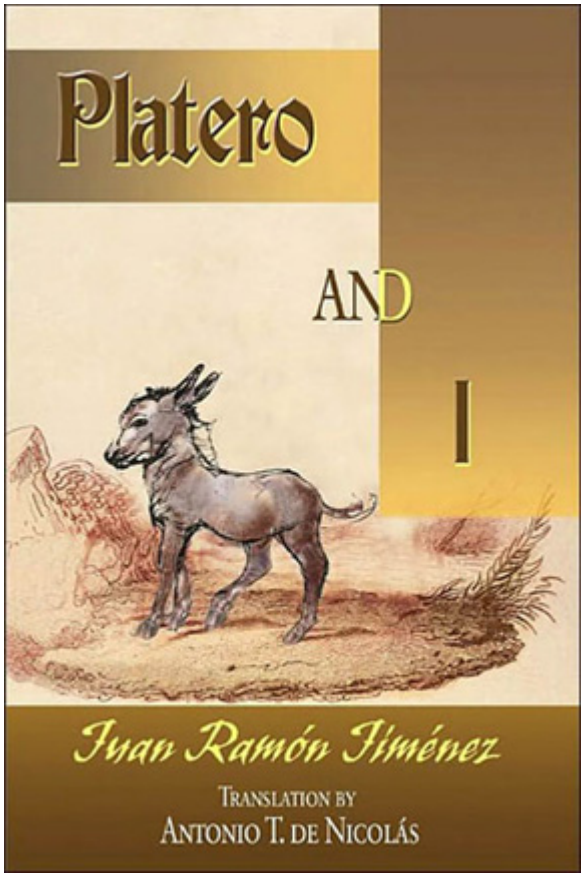

Korzystając z okazji chciałem jak najwięcej trudności tekstu, który tłumaczyłem na język polski, rozwiązać na miejscu sądząc, że lokalni ludzie są najbardziej kompetentni, by je wyjaśnić. Nie zawsze odnosiłem sukces. Powiodło mi się z piekarzem. Jiménez napisał, że Moguer jest jak chleb. W piekarni trafiłem na osobę starszą, dumną ze swego rzemiosła i pochlebiało jej, że właśnie o zwyczaje wypieku i recepturę pytałem, a on wiedział i chętnie objaśniał. Bo współcześni już nie pamiętali tych wszystkich fachowych słów, które ja, cudzoziemiec, znałem. Kazał mi przyjść następnego dnia i zadał sobie trud, by ze specjalnie dla mnie zrobionego ciasta ulepić bochenki, już nie w modzie.

Mniej szczęścia miałem z nazwami ptaszków, które tropiłem poprzez ornitologiczne łacińskie terminy. Kiedy nie robiłem żadnych postępów, uśmiechnęło się do mnie szczęście, a przynajmniej tak sobie to tłumaczyłem. Otóż pod drzewami przy cmentarzu znalazłem martwego ptaszka, o którego mi chodziło. Zawinąwszy go w chusteczkę chodziłem po okolicznych domach i pytałem o nazwę. Zapytani jednogłośnie odpowiadali, że to ptak. Ale jaki ptak, pytałem niespeszony. „Pájaro pequeño”, mały ptaszek, odpowiadali niewinie. Musiałem zrezygnować i uznać, że nieznajomość przyrody stała się nagminna, że trzeba było poszukać miłośnika i specjalistę, a dać spokój ludziom lokalnym.

Raz znalazlem się w Moguer w wigilię wyjazdu przystrojonych wozów w pielgrzymkę do niedalekiej miejscowości El Rocío, tak pięknie przez Jiméneza opisanych. Nie zaprzęgano już wołów, ich rolę przejęły muły, a strojne amazonki paradowały ożywionymi uliczkami na ślicznych koniach wśród palby broni i wystrzałów rac.



Juan Ramón Jimenez (1881-1958)

Odwiedziłem również słynną pustelnię, a z całą rodziną udałem się na grób poety i jego żony. Najmłodszy syn, Julek, złożył na

płycie wspólnego grobu polne kwiaty. Zmarły w Puerto Rico najsłynniejszy syn Moguer wyróżniony w 1956 roku literacką nagrodą Nobla, spoczął w końcu w swojej ziemi.

Kiedy pojechalem do miasteczka po raz trzeci, zobaczyłem zmiany, które wprowadziła nowa administracja z własnym jej pojęciem troski o kulturalne dziedzictwo. Zmieniono nazwy ulic. Dawna ulica „Nueva" przy której stoi dom Jiméneza przemianowano na ulicę Juana Ramona Jiméneza. Na to zgoda. Lecz po co z nastaniem nowych urzędników pozmieniano nazwy ulic utrwalonych na kartach „Srebronia i ja"? Ta zmiana spowodowała potrzebę umieszczenia dawnych nazw na drugim miejscu. Akcja ta ilustruje nieznośną potrzebę powierzchownych zmian przez nowych ludzi, których nie stać na czyny zasadnicze i gruntowne. Tak więc barwne kafelki z cytatami ze „Srebronia" wmurowane w różnych miejscach miasteczka są jakby na przekór temu najdoskonalszemu ze światow, przypominając rojenia poety, który widział raj tam, gdzie inni widzą codzienność, i cichego osiołka w miejscu, gdzie dziś pędzą rozjuszone samochody. Dawną idyllę zastąpił harmider i obojętność. Zeszpecono placyk Rady Miejskiej, kóry zachował piękno XVIII wieku w postaci historycznego budynku magistratu z zegarem o pięciołukowych galeriach na piętrze i parterze osłoniętych kratami z kutego żelaza. Trzy palmy, tuje i róże nie bardzo pasują do nowego pomnika Jiméneza wbudowanego w to historyczne, sielskie tło. Laureat Nobla siedzi sztywno za

czterema anemicznymi fontannami na tle dwu paneli płaskorzeźby. Po jednej stronie trzy alegoryczne postacie kobiet z osiołkiem, harfą i wawrzynem równoważą alegorię miłości z drugiej. Nad tą pomieszaną scenerią uganiały się jak dawniej chmary hałaśliwych jaskółek, jaśniała biel ścian, wieże wynosiły się nad dachy. Na jednej z nich bocianie gniazdo.

Historyczne tabliczki, że ”tu mieszkała Aguedilla”, „tu był placyk” wyglądały jak nagrobki, poetyckie „mane, tekel, fares” wskazujące marność tego świata i nieuniknione przemijanie rzeczy. Biedny poeta znalazł się najwyraźniej w bardzo wątpliwej gestii administratorów, urzędników od kultury, został uspołeczniony, zinstytucjonalizowany

Wracałem z trzeciej wyprawy do Moguer zawiedziony i rad, że autobus bardzo szybko wywiózł mnie w pola i sady. Z głośnika autobusu zabrzmiały rzewne skargi pątnika wracającego z pobliskiego El Rocío i zagłuszyły tłoczące się w moich myślach pytania. Głos śpiewaka zawodził: „Ślub mój wypełniłem”… A potem ciągnął dalej współbrzmiąc mojej rozterce: *„Ay, que me importa la muerte*… Co mi tam śmierć, skoro już nie mam nadziei. Całą noc opowiadałem o twojej zdradzie…”.

Ja również wracałem z pielgrzymki gnany starą miłością i jak każdy kochający, jechałem przygnębiony, niespełniony, nieuciszony, pełem smutku, którego nawet najsprawniejsze pióro

nie jest w stanie wysłowić…